

Paryż za dwa Ludwiki*

Ludwik Lewin, Ludwik Stomma

Legenda Montparnasse'u



Cmentarz
Montparnasse

Spacer ten zaczynamy zasadniczo na stacji metra Plaisance. Wyrwałbym proponowałbym jednak dodatkową eskapadę na mały i obskurny zaułek (passage) de Dantzig (najbliższe metro: Porte de Versailles). W dziwnym okrągłym budynku po lewej stronie mieściła się na początku wieku słynna „La Ruche” – stolica i legenda artystów. W szczytowym okresie znajdowało się tu i w okolicznych budynkach sto czterdzieści pracowni! Nazwiska? – Proszę bardzo: Chagall, Zadkine, Modigliani, Soutine, Léger, Boucher, Archipenko... „Jedyny kran z wodą” – pisze Jean Paul Crespelle – znajdował się u stóp schodów. W pracowniach nie było kominków, przy których można by się ogrzać, toteż niektórzy mieszkańcy przebijali otwory nad oknem, aby przepuścić tamtędy rurę od piecyka. W zimie północny wiatr dmuchał przez źle okitowane wysokie okna i wyl pod nieszczelnymi drzwiami. Rynny zamarzały, a z dachów zwisały długie stalaktyty. Większość przestawała się myć i wkładała na siebie warstwami całą posiadaną garderobę. Widywano w passage Dantzig dziwaczne niby widma sylwetki, okutane w kołdry i stare dywany... „La Ruche!” – wspomina Fernand Léger. – Cóż za niezwykle miejsce! Czego tam nie było! W „La Ruche” wszystko można było kupić i sprzedać. Przypominam sobie między innymi czterech Rosjan, nihilistów. Nigdy nie mogłem pojąć, jak mieścili się w pokoiku liczącym trzy metry kwadratowe i jakim cudem zawsze mieli wódkę”. I namiętny komentarz Chagalla: „Życie w „La Ruche” było cudowne, pracowałem całymi nocami... Kiedy w sąsiedniej pracowni zwiemyślana modelka zaczynała płakać, gdy Włosi śpiewali przy akompaniamencie mandoliny, gdy Soutine wracał z Hal z pękiem nadpsutych kurczaków, które miał malować, ja, samotny w mojej celi z desek, stałem przed sztalugami, przy świetle nędznej naftowej lampy...

Za trzydzieści pięć franków miesięcznie miałem zapewnione wszystkie wygody”. I wreszcie Crespelle raz jeszcze: „W „La Ruche” mieszkało bardzo wielu Żydów rosyjskich i polskich, co dawało temu osiedlu zdecydowany charakter getta, szczególnie wyraźny, gdy dwa razy na tydzień zjawiał się tam stary Żyd z Polski, w zielonkawej kapocie, popychając ręczny wózek: wyglądał jakby miał pozować Chagallowi. Poczciewicz ten przychodził z odległej ulicy des Rosiers i oferował kielbaski z chrzanem, wędzony ożór, śledzie, ogórki kiszzone, chleb z kminkiem i wódkę. Niestety, był zbyt ufny i umarł zrujnowany, bo za często udzielał kredytu swoim współziomkom. – W „La Ruche” wytworzył się bardzo oryginalny cocktail ras i warstw społecznych. Wśród mieszkańców spotykało się artystów prawdziwych i fałszywych, natchnionych i zbzikowanych, jak Granowski, któremu zdarzyło się otwierać nagle okno pracowni mieszczącej się w rotundzie i głosić niby muezzin: Ja geniusz!... Ja geniusz... – albo jak pewien Hindus, krewniak maharadży Kapurtali, którego przyjęcia z szampanem budziły podziw innych lokatorów. Dla wielu były to cudowne czasy; żyło się swobodnie, bez żadnych rygorów, w czym Rosjanie posuwali się czasem zbyt daleko. Kiedy pewnego razu przyszedł na inspekcję Dujardin – Beaumetz, wpadł na podchmielonych

artystów, którzy, goli jak ich Pan Bóg stworzył, igrali na zielonym trawniku niby w raj. Zabawy i rozrywki w „La Ruche” nie zawsze były tak niewinne. Często pijacy, wracający w nocy do pracowni, rzucali kamieniami w szyby kolegów. W tym sporcie wyspecjalizował się Soutine, celując szczególnie w okna Chagalla...”

Wróćmy jednak na stację metra „Plaisance”. Ulicą Alésia, na której, pod numerem 114, mieściło się przed I wojną światową najświetniejsze kasyno Paryża, dochodzimy (pełno tu galijskich patronatów) do ulicy Wercyngetoryksa. To na niej (pod nr. 6. – obecnie hotel „Sheraton”) mieszkał w luksusowym apartamencie na drugim piętrze Paul Gauguin ze swoją indonezyjską kochanką Annah, zwaną powszechnie „Jawajką”. Będąc jednym z nielicznych „montparnasistów” docenionych i kupowanych za życia, wydawał Gauguin sute przyjęcia, których stacjami uczestnikami byli m.in.: August Strindberg, Edward Munch i – co zaskakujące... Edgar Degas. Ten ostatni nie szczędził panu domu wszelakich uszczypliwości („Czy na Batignolles nie można równie dobrze malować jak na Tahiti?”), nie czuł się jednak na siłach zrezygnować z pieczęstego.

Na wysokości numeru 78. odchodzi od Wercyngetoryksa mała uliczka Perrel. Mieszkał tutaj (nr 2. bis) Henri Rousseau zwany „Celnikiem”. Nad drzwiami wywiesił szyld: „Akademia Rysunku, Malarstwa i Muzyki – Lekcje prywatne – Ceny przystępne”. I rzeczywiście, za parę groszy dawał lekcje rysunku, czy solfeżu latoroślom okolicznych sklepikarzy. I on także urządzał przyjęcia, zgoda jednak inne od swojego sąsiada. Przychodzili doń dozorca, policjanci z pobliskiego komisariatu, ale także Picasso, Apollinaire, Robert Delaunay, Serge Ferat. To ci dwaj ostatni odkryli oryginalność i wynalazczość płócien Rousseau. Apollinaire uważał je za prostackie bohomyzy i był na Rue Perrel ze względów, rzec by można, „etnograficznych” przede wszystkim. Nie popisał się przenikliwością krytyczną również i Picasso. Wina z miejscowej winnicy (sic!) były takie na Montparnasse) dostarczała artystom niejaka pani Coulon zamieszkała pod nr. 70. Jej wnuczka jeszcze w 1970 urządziła „winobranie” z żalosnych resztek domowej winnicy i uzyskała... cztery litry soku winogronowego.

Przez skwer imienia Kardynała Wyszyńskiego, plac Kastylii i ulicę Liceum Buffona, która znajduje się nieco dalej, już na bulwarze Pasteura, ruszamy na północ. W miejscu zajmowanym

* Fragment książki *Paryż za dwa Ludwiki. Przewodnik po Paryżu cieni i smaków*, która ukaże się w Wydawnictwie BGW. Autorom, wydawcy i Pani Katarzynie Mercie z wyd. BGW dziękujemy za udostępnienie tego fragmentu do druku.

dziś przez liceum i sąsiednie domy mieścił się ongiś cmentarz. To tu właśnie odbył się pozorowany pogrzeb Jeana Valjean, który jak pamiętamy mało nie skończył się tragicznie, gdyż nowy grabarz – służbista uparł się zakopać trumnę, i dopiero podstęp starszka Fauchelevent uratował sytuację, na czym kończy się „Nędzników” tom pierwszy.

Od bulwaru w lewo niepozorna ulica Falguière. I tutaj (nr 72.), podobnie jak w „La Ruche”, zagnieździł się ekstrawagancy artyści. Rej wiedli Modigliani, Fougita i Lipchitz; z tym, że Modiglianiego wyrzuciła w końcu pani Durchoux, właścicielka kamienicy, za notoryczne niepłacenie czynszu. Legenda głosi – wspomina Crespelle – że „została ukarana za swoją krewkość, dała bowiem synowi do zperowania materaców płótna, które Modigliani zostawił jej w zastaw, a parę lat później ku swej rozpaczycy dowiedziała się, że straciła fortunę”.

Na wysokości nr. 24–3024–30, jeśli zechce się nam nadłożyć nieco drogi, skrócić możemy w uliczkę Dulac i dojść nią (jeszcze 20 m w lewo ulicą Vaugirard) do zaułka Ronsin, gdzie (nr 8.) miała miejsce głośna ongiś sprawa kryminalna. 31 maja 1908 odnaleziono tu zwłoki uduszonego malarza Adolfa Steinheila i zmarłej na skutek szoku (?) jego teściowej. Znalezione w sąsiednim pokoju, związana i zakneblowana, lecz nie nosząca jakiegokolwiek obrażeń, żona malarza – Margueritte Steinheil były osobą specyficznej sławy. 16.02.1899 odbywając z nią właśnie w urzędowym gabinecie najzupełniej nieślubny stosunek seksualny, zmarł na atak serca prezydent Republiki Francuskiej Feliks Faure. Zła opinia zrobiła swoje. Nie rozpatrując niemal innych wariantów, policja oskarżyła Margueritte o męzobójstwo. Niedostatki i zaniedbania śledztwa zaważyły na przebiegu procesu. 13.11.1908 ława przysięgłych uniewinniła panią Steinheil. Nigdy już nie dowiemy się, co zdarzyło się w majową noc 1908 roku w ponurym zaułku. Margueritte Steinheil wyjechała do Anglii, gdzie w 1921 wydała nader mało wiarygodny pamiętnik, a w 1917 wyszła za mąż za bogatego szlachcica. Zmarła w Hove, w hrabstwie Sussex 20.07.1954 dożywszy pięknego wieku osiemdziesięciu sześciu lat.

Wracamy na Falguière i skręcamy tym razem w prawo, w ulicę Antoine Bourdelle, której patron tutaj pracował i mieszkał. Pod numerem 16. znajdziemy też przekształconą w 1948 w muzeum atelier rzeźbiarza. Impresjonistyczno-ekspresyjne dzieło Bourdelle nie zachwyca nas szczególnie. Winniśmy mu jednak wdzięczność, gdyż on to jest autorem zdobiącego nabrzeże Sekwany koło placu Almy pomnika Adama Mickiewicza (1919) – jednego z okazalszych paryskich poloników.

Teraz w prawo i okrążywszy od tyłu, wzdłuż dworca kolejowego, wieżę Maine-Montparnasse (ze szczytu piękny widok na miasto), po czym odbiwszy jeszcze sto metrów aleją Maine, znajdziemy się na jej skrzyżowaniu z ulicą de la Gaité (ulicą Radości). Doprawdy nie jest to nazwa uzurpowana. W szalonych latach Montparnasse’u mieściło się tu pięć teatrów, sale taneczne, a w części środkowej popularne knajpki, wyspecjalizowane przede wszystkim w owocach morza, co tym łatwo można wytłumaczyć, że właśnie na pobliski dworzec przybywały pociągi z bogatej w ostrygi Bretanii. Wszystkich lokalów – uciech ulicy Radości wyliczyć nie sposób. O dwóch wspomnijmy wszakże: pod nr. 21. mieściła się w latach 1811–1920 kawiarnia „Piękna Polka” („La Belle Polonaise”), do której wejścia strzegły figury dwóch nadwiślańskich szwależerów w pełnym rynsztunku bojowym.

Pod nr. 20. trwa i czaruje słynne „Bobino” – sala wodwilowa, operetkowa, rewiowa, dzisiaj recitalowa najczęściej. Tutaj rozpoczęli kariery Polin, Maurice Chevalier, Jeanne Mastinguett, Marie Dubas i sama Edith Piaf. Bawiono się tu doskonale mieszając gatunki, improwizując parodie, zniekształcając klasyków. Znana była tylko (w przybliżeniu) godzina rozpoczęcia spektaklu. Dalej była to już wyłącznie kwestia nastroju chwili, oraz inwencji aktorów i widzów. „Książę poetów” (takim tytułem, z którego był bardzo dumny, obdarzył go rozbawiony Montparnasse) – symbolista Paul Fort, przesiedział ponoć

w „Bobino” cztery doby non-stop, żywiąc się tylko alaszem i croissantami, pokrywając za to poetyckimi szkicami dwa obrusy, nie licząc serwetek.

Na końcu ulicy zakręt w prawo, w bulwar Edgar Quinet, i zmiana nastroju. Zbliżamy się oto do murów cmentarza Montparnasse. Znowu niekończąca się lista spoczywających tu sław i postaci sercu bliskich. Maleńki jej wycinek: – Guy de Maupassant (1850–1893), znany nam ze szkoły jako autor niewinnych, obyczajowych nowelek. W rzeczywistości jedna z najskandaliczniejszych i najbardziej tragicznych postaci literatury europejskiej. W marcu 1877 pisał w liście do Roberta Pinchona: „Mam syfisa, nareszcie, prawdziwego! Nie jakieś tam żałosne krosty, nie burżuazjskie pryszcze, nie kalaforowate grzybki, nie, nie, prawdziwego syfisa – tego, na który umarł Franciszek I. I jestem z tego dumny i nade wszystko pogardzam mieszcuchami.

Alleluja, mam syfa, więc siłą rzeczy nie muszę się już obawiać, że go złapię!” Dalszy ciąg dopisał Izaak Babel: „Płodność i wesołość, których był pełen, przeciwstawiała się chorobie. Z początku cierpiał na bóle głowy i ataki hipochondrii. Później stanęło przed nim widmo ślepoty. Wzrok jego słabł. Rozwinęła się mania podejrzeń, mizantropia i piniactwo. Walczył zaciekle, miotał się jachtem po Morzu Śródziemnym, uciekał do Tunisu, do Maroka, do Afryki Centralnej – i pisał bez ustanku. Zyskawszy sławę, poderżnął sobie w czterdziestym roku życia gardło, wykrwawił się, ale pozostał przy życiu. Zamknął go w domu wariatów. Pełzał tam na czworakach... Ostatnie słowa jego historii choroby brzmią: „Monsieur de Maupassant vien de s'animaliser” (Pan de Maupassant przemienił się w zwierzę). Zmarł mając 43 lata. Matka go przeżyła.

Nieco dalej Szymon Petlura (1879–1926). Ukraiński sojusznik Piłsudskiego w 1920 roku. Ten, którego oficerem mógł tylko Marszałek powiedzieć: – Ja panów bardzo przepraszam.

Zamordowany w Paryżu przez Żyda rosyjskiego Szwarzbarda w odwet za pogromy dokonane przez petlurówców na Ukrainie w 1918–1919. Utrapienie spolegliwego odłamu emigracji polskiej. Jeśli 25 maja (w rocznicę zamachu) nie złożą wieńca na grobie Petlury – obrażają się Ukraińcy; jeżeli złożą – pretensję mają Żydzi.

Pierre Laval (1883–1945). Polityk francuski. Podczas II wojny światowej orędownik kolaboracji z Niemcami. Był przekonany, że stwarza alternatywę dla Francji. W przypadku zwycięstwa aliantów – De Gaulle, on zaś w razie triumfu Hitlera. Była w tym nawet jakaś cyniczna, polityczna logika. Zabrakło jednak honoru i elementarnej moralności. „Narody mogą z takich polityków korzystać – napisał później Chaban-Delmas – nie mogą im jednak przebaczyć”. Skazany po wojnie na karę śmierci i rozstrzelany.

Alfred Dreyfus (1859–1935). Sam w sobie oficer średniego polotu i średniego charakteru. Stał się jednak bohaterem słynnej „Affaire”, która na długo podzieliła Francję na dwa zwalczające się zaciekle obozy. Odłam broniący Dreyfusa przed oskarżeniem o szpiegostwo na rzecz Niemiec i widzący w jego skazaniu akt szowinizmu i bezprawia, położył podwaliny pod intelektualną formację nowoczesnej lewicy francuskiej.

Jean-Paul Sartre (1905–1980). Mierny filozof, znacznie już lepszy pisarz. Przez szereg lat nie kwestionowany król dusz francuskiej młodzieży. Bardziej niż styl myślenia stworzył, acz zapewne nieświadomie, styl bycia. Paniutki – intelektualistki w czarnych swetrach z papierosami w długich firkach i tłustymi włosami – to dzieci Sartre’a właśnie. Niektórzy twierdzą, że bez niego nie byłoby paryskiej rewolty studenckiej w maju 1968. Mogą tak twierdzić, bo i tak nikt tego nie sprawdzi...

A jeszcze – jaka szkoda, że miejsca nie starczy – pochowani są tu, na Montparnasse, między innymi: Julio Cortazar, Charles Baudelaire, Aleksander Alechin, Tristan Tzara, Osip Zadkin, Samuel Beckett, Simone de Beauvoir, Paul Reynaud, Raymond Aron, Roger Caillois, André Citroën, Pierre Larousse, Chaim Soutine...

Miłośnikom sztuki polecamy przede wszystkim alegoryczną rzeźbę „Rozstanie kochanków” w kwaterze IX, nagrobek T. Rachewskiej, dłuta Brancusiego w kwaterze XIX, czy surrealistyczny dysk na grobie Pierre Loeba, zaprojektowany przez Jean Arpa (XXVIII). Zaiste, są paryskie cmentarze pamięcią, historią, lecz i pięknem dotkliwym.

Po drugiej stronie bulwaru Edgar Quinet wylot ulicy Delambre, wstawionej ekstrawagancją malarza Szkoły Paryskiej Leonarda Foujity (pierwotnie Fujita Tsuguharu). Pamiętają otóż państwo, że w „La Ruche” był tylko jeden kran. Artyści z Falguière zadowalać się musieli miniaturowymi zlewozmywakami. Zamożny Bourdelle miał z kolei zlewozmywak i bidet. Dla szczegółowych ablucji przystano z fałszywych miejskich, a w lecie z wód Sekwany. Tymczasem Foujita wybudował sobie łazienkę z obszerną wanną, z której nie tylko sam korzystał, ale korzystać też nakazywał swoim modelkom. Wieść wywołała sensację i wkrótce cały Montparnasse śpiewał ironiczną (tak się przynajmniej jej twórcom zdawało) piosenkę:

„Gdy się chce do obrazu pozować

I modelką być,

I modelką być,

Nie wystarczy sama uroda,

Trzeba się jeszcze myć!”

Poprzez Delambre dochodzimy do wielkiego skrzyżowania bulwarów Montparnasse i Raspail. Po lewej stronie, wzdłuż bulwaru Montparnasse skupienie słynnych lokali: „Le petit Napolitain” (nr 95.), gdzie odbywał Verlaine swoje wieczory literackie; czynny całą noc „Sélect Bar” (nr 99.); najbardziej dziś snobistyczna „La Coupole” (nr 102.); „La Rotonde” (nr 105.) – ulubiona restauracja m.in. Apollinaire’a, Picassa, Maxa Jacoba, czy Modiglianego, ale także i naszego Reymonta; „Café du Dôme” (nr 108.), w której spotykali się Lenin, Trocki i Krasin. Między „La Coupole” i „Dôme” (nr 106.) mieszkał w latach 1891–1892 Stanisław Wyspiański.

Nieco dalej (nr 80.) mieściła się w latach 1859–1871 Wyższa Szkoła Polska. Pozostał po niej na frontonie budynku potrójny herb – polski Orzeł, litewska Pogoń i ruski Lew. Ciekawostką jest, że zamknięto ową zasłużoną, założoną przez Adama Czartoryskiego w 1848 (przed 1859 mieściła się przy Rue Neuve Sainte Geneviève 33) uczelnię w odwet za udział Polaków w Komunie Paryskiej.

Cóż z tego, że było ich mniej więcej tyle samo po obu stronach barykad, skoro są Polacy jakże często postrzegani przez Francuzów jako niespokojne dusze i nieuleczalni wywrotowcy...

Montparnasse

Na Montparnasse znalazłem się po raz pierwszy ciemną nocą, zawieszony przez przyjaciół do kawiarni-restauracji „La Coupole”. La Coupole znaczy „kopuła”, ale żadnej kopuły tam wtedy nie dostrzegłem. Wiedziałem, że w tej dzielnicy mieszkali malarze, ale nie znałem, czy raczej nie czułem jeszcze wtedy legendy Montparnasse’u. A tym bardziej legendy tego miejsca. Poprzecinana regularnie filarami, wielka rozświetlona sala wydała mi się wtedy wyspą.

Wiele lat później okazało się, że nie tylko ja miałem podobne skojarzenia. Françoise Planiol w sześćdziesięciolecie tej „instytucji” napisała, że „La Coupole” jest wyspą w samym środku wód terytorialnych, należących do tych wszystkich, co malują, myślą, rzeźbią i piszą, niezależnie od tego, skąd pochodzą”. Pisarka zaznacza, że tak było w roku otwarcia lokalu – 1927, i natychmiast stwierdza z całą pewnością, że tak jest do dziś dnia, że wciąż spotkać tu można intelektualistów i artystów z całego świata. Niektórzy mają stałe godziny, w których przychodzą do „La Coupole”, inni wpadają tu mniej regularnie. Nie należy bynajmniej sądzić, że kawiarnia stała się swoistym muzeum figur woskowych, w których zatopiono przebrzmiałe lata cudzej chwały. „La Coupole”, nie waha się twierdzić Planiol, wciąż gości więcej talentu niż inna kopuła, ta

pod którą zbierają się członkowie Akademii Francuskiej. „No, ale cóż, w Akademii sporządza się słownik francuszczyzny, a w «La Coupole» redaguje książkę telefoniczną przechodzących geniuszów”.

Knappe, która miała się szybko stać najslawniejszym miejscem spotkań artystycznych – co dodaje glorii – i wszelkich randek – co dodaje smaku i pozwala wyżyć właścicielom – otworzyli na kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1927 roku dwaj Owerniacy, panowie Fraux i Lafon. Wcześniej byli dzierżawcami sąsiedniej kawiarni-restauracji, „Le Dôme” (co też znaczy kopuła, tylko że widziana od środka). Gdy właściciel odmówił im przedłożenia kontraktu, kupili budę, w której sprzedawano węgiel i drewno na opał. To wspomnienie dawać musiało dużo ciepła, bo bardzo szybko do „La Coupole” przenieśli się klienci przesiadujący dotychczas w sąsiednich lokalach – „Le Dôme” i „La Rotonde”.

Filary dzielące ogromną salę (chciałoby się powiedzieć halę – „La Coupole” ze swymi czterystu pięćdziesięcioma miejscami to największa restauracja we Francji) – wymalowało trzydziestu malarzy. Historia milczy, czy w ten sposób spłacili kredyt za zaległe konsumpcje w „Le Dôme”, czy szło im na konto przyszłych pijatyk w „La Coupole”. Pijatyki zdarzały się tu w każdym razie ogromne już od pierwszej inauguracyjnej nocy, kiedy to panowie Aragon, Cendrars, Cocteau i Man Ray zaczęli się do tego stopnia, że wezwano policję, która ich wyprowadziła. Bez urazy. Na drugi dzień – znaczy wieczór – byli już z powrotem.

Bo na „La Coupole” obrażać się nie sposób i wracać do niej trzeba. To o niej myślał z całą pewnością Majakowski, gdy pisał, że choć „mówi się zawsze, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, Montparnasczyk nigdy tego nie powie”.

Do „La Coupole” wracał zarówno Simenon, jak i jego literackie dziecko, komisarz Maigret, który tutaj, i to w dwóch powieściach, odnalazł zabójców, posilając się przy okazji porcją chrupiących frytek. Simenon, pisarz belgijski, którego dzieło zachwyca bardziej opisem Paryża, jego mieszkańców, knajp i potraw, niż mistrzostwem platanu intrygi policyjnej, włóczył się w latach dwudziestych po Montparnasse, każdą książkę podpisując innym pseudonimem. I tutaj właśnie się rozpił, a to dlatego, że w „La Coupole”, jak pisał we wspomnieniach, pijaństwo było modne: ostro pili wszyscy malarze z wyjątkiem Vlamincka, i zaczynało już podziwiać Hemingwaya i Steinbecka, którzy pili jeszcze więcej. Być może aluzją do międzynarodowej atmosfery miejsca jest to, że morderca, złapany przez Maigreta w barze „La Coupole” nazywa się Radek.

Bar, zwany amerykańskim, to bardzo specyficzna część „La Coupole”, jakby eksterytorialna i pozaklasowa. Bo „La Coupole”, jak społeczeństwo, jest zhierarchizowana i podzielona na klasy. Taras oraz jedna aleja pozostawione zostały tałatajstwu nie mającemu grosza i długie godziny spędzającemu przy jednym piwie, albo zgoła przy kawie, jeśli w kieszeni już całkiem sucho.

To oczekiwanie urozmaica sobie człowiek pilną obserwacją wejścia, w którym co jakiś czas pokazują się najpiękniejsze dziewczyny świata. Towarzyszą im na ogół elegancyści panowie, którzy wiodą je w głąb sali, tam gdzie stoły pokryte są białymi, płóciennymi obrusami. (To jest najwyższa klasa „La Coupole”, w średniej jada się na papierowych serwetach). Wiodą powoli i dumnie rozglądając się dookoła, sprawdzając wrażenie, jakie robią eskortowane przez nich, boskie kreatury. Gdybyśmy byli w Londynie, wszyscy mężczyźni natychmiast zaczęliby nosami drapać blaty stolików, zastaniać się gazetą i zezować w tej niewygodnej pozycji, w przekonaniu, że nikt nie wie co robią, i że pozostają dla otoczenia wcieleniem angielskiej flegmy. We Włoszech męska połowa (czyli na ogół trzy czwarte) sali podniósłaby się z miejsc, krzycząc mamma mia i gwizdząc na palcach.

We Francji obyczaje są inne. Wszyscy patrzą na piękne kobiety nie ukrywając podziwu, ale nie afiszując również

nadmiernego podniecenia. A panie odbierają to jako hołd składany ich osobistej urodzie i wyraz szacunku dla płci pięknej w ogólności.

I my mamy prawo do złożenia wyrazów tego abstrakcyjnego szacunku, choćby z tego powodu, że nie mamy na następne piwo. Co również wyjaśnia, dlaczego wejście do knajpy, w której przebywamy, nie tylko ze względu na obecność pięknych kobiet obserwujemy.

Obserwujemy je przede wszystkim dlatego, że w drzwiach pojawi się może przyjaciel, kolega, znajomy, który następne piwo postawi, a może być i co więcej.

Do dziś dnia zdarza się bowiem na Montparnasse, a w „La Coupole” w szczególności, że wchodzi tu ktoś, kto jeszcze wczoraj, z beznadzieją równą naszej, czekał na postawienie następnego piwa albo chociaż na zapłacenie za tę najtańszą kawę. Wchodzi w zupełnie innej roli. Chociażby właśnie tego pana wprowadzającego jedną z najpiękniejszych dziewczyn świata. Dlatego, że zanim tu wszedł przyszło właśnie oczekiwane zamówienie (oczekiwane, bo wszyscy artyści czekają) albo ważna wystawa, czy też zakup płótna za niespodziewaną cenę.

I wtedy działa jak magnes na tych, którzy pozostają jeszcze w jego wczorajszej roli. Siedzącemu pod tarasem koledze może zapłacić za piwo i zamówić następne. Może też zaprosić na obiad – czyli bardzo późną kolację. Tworzy się wokół niego wianuszek admiratorów i kelnerzy rozpoznają tych, co należą do tej grupy. Bo w funkcji rozmiarów sukcesu admiratorów stają się klientelą i wielkie uczty mogą powtarzać się co noc. Tak długo, aż skończy się forsa, albo gdy rozmiar sukcesu okazuje się tak trwały, że w pewnym momencie zmienia wymiar wybrańca losu i oddala go od paczki tych, którzy mają tylko wielką przyszłość.

„La Coupole”, jak już wspomnieliśmy, to najmłodsza z piramid Montparnasse’u. Pierwsza była „Closierie des Lilas”, której początki giną w mroku dziejów, usytuowanym po przeciwnej stronie bulwaru Montparnasse, gdzie obecnie mieści się restauracja. Nazwę zawdzięcza kilku krzakom bzu (lila), zasadzonym dookoła, przez co jest do dziś jedną z restauracji, o których logiczni Francuzi mówią, że mają ogródek (choć niektórzy też go standardowo nazywają tarasem).

„Closierie” zaczęła być modna i artystyczna pod koniec poprzedniego wieku – bywali tu Zola i jego przyjaciel Cizanne, opisywali ją bracia Goncourt – po czym triumfalnie wkroczyła w dwudzieste stulecie. Wraz z jego przyszłymi bohaterami. Często mało artystycznymi. Między dwiema wojnami światowymi, w książce Paris Vecu, czasy te wspominał pierwszy prezes Akademii Goncourtów, Leon Daudet:

„Klientela składała się ze studentów, mieszczań z sąsiedztwa oraz z rosyjskich rewolucjonistów, którzy przy stoliku stojącym na uboczu, z minami konspiratorów rozmawiali szeptem. Jeden z nich, łysy, z kałmucką gębą, rzucał się w oczy z powodu błysków w ponurym spojrzeniu. To był Lenin. Rozpoznaliśmy go później na portretach. Jakież zadziwiające przeznaczenie, które spowodowało, że tego nędznego człowieczka, podobnego do drżącego robaka, wielka burza wyniosła na tron carów.”

W „Closierie des Lilas” bywał podobno również Trocki, ale niewykluczone, że jest to wspomnienie apokryficzne. Z całą pewnością natomiast lokal był sztabem generalnym surrealistów. Świadczy o tym – między innymi – wygrawerowane na metalowej płytce nazwisko André Bretona, „papieża” surrealistów. Te metalowe tabliczki, przyśrubowane do stołów, przy których siadywali stawni klienci, to jakby telegramy z wielkiej historii, główna specjalność zakładu, o którego teraźniejszości przywykło się mówić źle. Picasso, Braque, Jules Romain, Blaise Cendrars. O Hemingwayu była już mowa, Steinbeck... kolejna „książka telefoniczna, przechodzących geniuszów”.

Francuska awangarda odkryła „Closierie des Lilas” i Montparnasse trochę przypadkiem. W tej dzielnicy mieszkał uwielbiany przez kubistów celnik Rousseau. W roku 1908, pod batutą Apollinaire’a, artyści mieszkający w Bateau Lavoir na Montmartre, urządzili wielki bankiet na cześć geniusza. Bankiet się

przedłużył i na drugi dzień całą bandą odprowadzili pana Henriego na drugi koniec Paryża. Montparnasse – pisał Apollinaire – wydał się im miejscem o wiele mniej skomercjalizowanym od Montmartre’u, oszczędzonym przez spekulantów i promotorów nieruchomości.

Artystyczni „emigranci” z Montmartre’u spotkali się na Montparnasse z grupą przybyszów z Europy Wschodniej. Byli wśród nich tacy twórcy, jak Chagall, Soutine i Makowski, który do Paryża przeprowadził się w tymże roku 1908 i natychmiast stał się bywalcem „La Rotonde”, położonej naprzeciwko wspomnianej już restauracji „Le Dôme”. Jak wspominał Apollinaire, do „La Rotonde” najpierw zaczęli przychodzić Słowianie, podczas gdy Niemcy woleli wtedy knajpę bardziej elegancką, jaką był „Le Dôme”. „Żydzi bez różnicy chodzili do jednej i do drugiej” – zanotował autor Cycków Terejasza – Polak z pochodzenia, Francuz z języka, któremu pomiędzy arystokratycznych przodków też się coś kosznego wmieszało.

Choć „Closierie des Lilas” opisywał Hemingway i chodzą tam Ludzie dobrej woli Jules’a Romain, w literaturze pozostała przede wszystkim „La Rotonde”. Pozostała w Kibiccie zająca Apollinaire’a, tak samo jak w wierszach Cendrarsa, w książkach Giraudoux, u Jean Cocteau. U mało znanych za granicą pisarzy francuskich i mało znanych we Francji pisarzy zagranicznych. To tutaj właśnie rozwijała się kariera malarska Lejzorka Rojtszwańca – Ilia Erenburg przychodził do „Rotondy” z Zadkinem i Eisensteinem. Choć był wtedy jeszcze pisarzem, co udowodnił właśnie w Przypadkach Lejzorka, to już wówczas nadmiernie chłostał okrutny kapitalizm, opisując jak jego bohatera brutalnie wyrzucono z lokalu za brak gotówki na uiszczenie rachunku.

Właściciel „La Rotonde”, Libion, na swej restauracji zrobił ogromną fortunę, ale krwiopijcą nie był. Przeciwnie. W wielu pamiętnikach zachowały się wspomnienia o tym, jak „nie zauważał” w rachunku paru rogalików i kawy, jeśli sądził, że artysta nie ma czym zapłacić. Oberżysta twierdził, że odbija sobie na bogatych Amerykanach i Skandynawach, ale – jak pisał Robert Courtine w Życiu Paryskim – nawet tym pożyczal.

Po I wojnie światowej, w okresie największego rozkwitu, „La Rotonde” swą atmosferą przyciągała intelektualistów i turystów z całego świata, kandydatów na malarzy, tak samo jak kandydatów na mecenasów. Ta kosmopolityczna atmosfera drażniła porządną Francuzów. W sierpniu 1924 Georges Savoisie pisał o „Rotondzie” w monarchistycznej gazecie „l’Action Française”:

„Tu się instaluje swe wady i perwersje, swe pasje i manie; tu zrywa się jarzmo przymusu, ograniczeń i konwencji. I nikt na to nie zwraca uwagi w tej chorobliwej wspólnotce amoralności.”

W tym opisie musi być sporo prawdy. Giraudoux, wielbiciel i bywalec „La Rotonde” widział ją dosyć podobnie, tylko wnioski z tego widoku inne wyciągał:

„Nie sądzę, by w jednym życiu można było dwa razy poznać podobną atmosferę: sztuczną, to prawda, wymuszoną, grzeszną, ale przecież jakże podniecającą i będącą zapowiedzią długich lat malarstwa, literatury i poezji, które na nas oczekiwały.”

W tym świecie elektrycznej muzyki modernizmu (nie wspomniamy o futurystach, dada, letystach i innych awangardach literackich, których wodzowie na Montparnasse przegadali wszystkie przyszłe rewolucje społeczne, filozoficzne i technologiczne) na pozór niewiele miejsca jest dla gastronomii, a nawet dla zwykłego jedzenia. To miejsce zajmują najstraszliwsze narkotyki, co nie raz sugerowali potępiacze kosmopolitycznego zepsucia. W rzeczywistości nawet adepci kokainy i konsumenci peyotlu lubili sobie pojeść – niektórzy dobrze, niektórzy dużo, a niektórzy dobrze, ale za to dużo.

Vlaminck opowiadał, że ulubioną rozrywką Apollinaire’a były konkursy obżarstwa. Wchodzili we trójkę (trzecim był Derain) do knajpy i zamawiali wszystkie dania z karty po kolei – od przystawek do deserów i owoców i – jeśli nikt nie spasował – znów zaczęli od początku. Ten kto pierwszy wysiadł płacił za

wszystkich. Wielki malarz przypomina sobie, jak wytrzymał po raz drugi do drugiego dania – a to dlatego, że nie miał dosyć pieniędzy.

Chagall w tym okresie głównie śledzia zagryzał ogórkiem: zaproszony na obiad przez Apollinaire'a nie mógł wyjść z podziwu dla nie podejrzanej przez siebie wspaniałości francuskiej kuchni. „La Rotonde”, gdzie artyści pili na kredyt, szczyliła się kuchnią wykwinną i finezyjną. W roku 1925 figuruje w przewodniku Paryż Smakoszy. Jednak jej bywalców, czyli niemal domowników, rzadko tylko stać było na posiłek. Żywili się w pobliskiej cremerie, czyli sklepie z nabiałem, gdzie właścicielka przygotowywała skromne dania „na wynos”, które spożywali na miejscu. Innym rozwiązaniem było istniejące od lat siedemdziesiątych „Foyer des artistes” (stołówka artystów), założone przez Marię Wasiliewą. Przed rewolucją przychodził tu Władimir Iljicz. „Miał on jednak przykry zwyczaj wskakiwania na stół, skąd wygłaszał wywrotowe przemówienia, co zmusiło gospodynię do wyrzucenia go za pomocą miotły – policja wszak czuwała”. Pani Wasiliewa zasłynęła również z tego, że pisywała listy do papieża na papierze firmowym „La Dôme”.

I cóż nam zostało z tych lat? Cóż oprócz wspomnień i kilku zdjęć z epoki na ścianach tegoż „Le Dôme”, nie do poznania przemalowanego i przemeblowanego?

Myszę, że wszystko zostało jak było. Mam nadzieję, że jutrzejszy Lenin nie przychodzi do dzisiejszej „La Coupole”. Pamiętam jednak doskonale jak kiedyś wszedłem tam z Paco Ibanezem, hiszpańskim pieśniarzem, przyjacielem Ewy Demarczyk. Na tarasie siedział jego brat, aktor Roger Ibanez, w towarzystwie przystojnego mężczyzny, który coś perorował po hiszpańsku, podkreślając swe słowa zamaszczystymi ruchami rąk. Młody człowiek miał na imię Felipe. Spotkałem go jeszcze kilka razy na Montparnasse w tym samym towarzystwie. A kilka lat później, podobnie jak zdarzyło się Leonowi Daudet z Leninem (niczego oczywiście nie porównuję i nie insynuuję), rozpoznałem go na zdjęciu jako hiszpańskiego premiera.

W „La Coupole”, o północy, pierwszy raz zobaczyłem z bliska sardoniczny uśmiech Rolanda Topora. Niedawno o tej samej porze i przy tym samym stoliku siedział Woody Allen, który do Paryża przyjechał z okazji premiery Strzałów na Broadwayu.

Ostatnio wybrałem się do „La Coupole” na popołudniową kawę z paryskim poetą i malarzem Stanem Wieźniakiem, teoretykiem i praktykiem automatyki – wynalezionej przez siebie kierunku w sztuce, życiu i filozofii. Poznał go stary kelner, a że o tej porze było pustawo, więc stanął przy naszym stoliku, by ponarząkać na złe czasy, na upadek świata, Montparnasse’u i „La Coupole”. Wszyscy wielcy klienci umarli – skarżył się – pan Sartre i pani de Beauvoir, pan Buñuel i Simenon. Stan przyznawał mu rację, skromnie zapominając o sobie. A ja patrzyłem dookoła i zauważyłem najbardziej dziś we Francji mediatycznego filozofa i pisarza, Bernarda-Henry’ego Leviego. A co ważniejsze, wiedziałem bez cienia wątpliwości, że osiemnastoletka w ciemnym męskim płaszczu to przyszła Isabelle Adjani, zaś chłopiec, z którym pije piwo zaćmi niedługo sławą Yves Montanda (który na Montparnasse przychodził bardzo rzadko).

„Paryż – napisał na Montparnasse Ernest Hemingway – jest niezbędną częścią edukacji człowieka. Paryż jest jak kochanka, która się nie starzeje”.

Przecinamy skrzyżowanie bulwarów i prawoskos wchodzimy w ulicę de la Grande Chaumière. Mieściła ona w początkach wieku aż trzy (!) uczelnie malarskie. W najstarszej – Akademii Colarossi (nr 10.) wykładali Rodin, Whistler i Guérin; w Akademii Grande Chaumière: Bourdelle i Boutet de Monvel; w La Palette wreszcie: Chagall, Roger de la Fresnaye i jego młodzi asystenci. Akademie te miały wcale wysoki poziom, były też względnie tanie. Dwudziestominutowa lekcja rysunku kosztowała pół franka, godzina – franka i dwadzieścia pięć centymów (dla porównania jedna doba w maleńkich, zaplusk-wionych pokoikach okolicznych hoteli kosztowała franków 30).

Istnienie aż trzech Akademii spowodowało logicznie niewyczerpany niemal, popyt na modelki. Były to dziewczyny nie zawsze najcieńszych obyczajów zwabione nie tyle perspektywą pieniędzy (zarobki były marne), ile wejścia w eskrawagantkie i barwne środowisko. Jakoż i wiele z nich zrobiło głośnie, bardziej zresztą erotyczne, niż matrymonialne kariery. Gruba Wenus – Rosalia Tobia, eks-kochanka Fernand Legera otworzyła przy Campagne Première jadłodajnię dla artystów, w której sute spaghetti kosztowało zaledwie dwa franki, a można było też zamawiać połowę i nawet jedną czwartą porcji. Nic dziwnego, że Max Jacob zwał ją „Najstraszniejszą z tutejszych muz”.

Oddalając się ulicami de la Grande Chaumière i Notre Dame des Champs od centrum Montparnasse niepostrzeżenie z krainy symbolistów, impresjonistów i Szkoły Paryskiej wkraczamy w domenę surrealistów. Jeszcze pod nr. 70. bis Notre Dame des Champs jesteśmy pod siedzibą Emila Bayard – symbolisty, ilustratora książek Alfonsa Daudet i Juliusza Vernego. Ale już dwieście metrów dalej i oto stoimy na progu „Closierie des Lilas” – kawiarni, która była surrealistów stolicą i bastionem.

Pewnego razu (jesteśmy w przededniu I wojny światowej) pani Rachilde, ogólnie poważana autorka cikliwych romansów, stwierdziła w „Closierie”, iż „Francuzki nie powinny wychodzić za Niemców”. Natychmiast wstał André Breton i zwrócił uwagę obecnych, że obraża paniusia jego przyjaciela Maxa Ernsta najzupełniej germańskiego pochodzenia, nie omieszkając przy tym dorzucić, że ta „czcigodna osoba zanudza nas od dwudziestu pięciu lat, ale nikt nie ma odwagi jej tego powiedzieć”. Dama zapiszczała. „– Nie traktuje się w ten sposób kobiety! Co za brak galanterii!” – krzyczał Saint Pol Roux. „W dupie mamy galanterię!” Breton wybił szyby, a Philippe Soupault uwiesił się na karniszach od firanek. – „Precz z Niemcami!” – krzyczał Max Ernst, na co natychmiast odpowiedział mu Michel Leiris grzmiącym hasłem: „Precz z Francuzami!”. W międzyczasie wywrócono stoły i zdemolowano bar. Wezwana wreszcie policja boleśnie spałowała Leirisa (trzy tygodnie zwolnienia lekarskiego), solidaryzując się jednocześnie w pełni z nie posiadającym karty pobytu Ernestem. Rzec by można, że surrealizm zatriumfował...

W latach dwudziestych pojawiają się w „Closierie de Lilas” Ernest Hemingway i Henry Miller. Ten pierwszy – młody jeszcze, ale już wyniosły macho, usiłujący opowiedzieć swoje życie w kategoriach: „kogom nie zerznął, czegom nie dokonał”; ten drugi – etnologiczną mający prawie wrażliwość, zapatrzony w absurd otaczającego go na rogu bulwaru Montparnasse i Saint Michel wybujałego świata. Ten drugi pozostawił po sobie (a może o sobie i o paryskich dziewczynach tej epoki) dwa cudowne wspomnienia: Zwrotnik Raka i Zwrotnik Koziorożca; oba utwory ukazały się najpierw w Paryżu, pierwszy w roku 1931, drugi w 1939, kiedy powrócił już do USA; i są do dzisiaj czarującym świadectwem czasu i miejsca: „Closierie des Lilas”. Hemingway wyjechał natomiast rozczarowany. Mógł zapewne napisać sagę o Montparnasse i swoich na nim przewagach; cóż jednak zrobić, gdy za dużo było wiarygodnych świadków. Na biednego jednak nie trafiło. Odkuś się pisząc, co mu ślina na język przyniosła o wojnie hiszpańskiej, o corridzie i polowaniach w Kenii. „Król poetów” z Montparnasse – Paul Fort – taką miał o Hemingway’u opowiedzieć anegdotkę: „Lubi jaja sadzone, gdyż wydaje mu się, że to jaja byka, którego właśnie pokonał. Zresztą, lubi jaja, gdyż każdy tęskni za tym, czego mu brakuje. A gdy brakuje komuś istoty swego ducha, wtedy – trudno zaprzeczyć – jest się nicością; w warunkach zaś towarzyskich – nudziarzem. Nic więcej nie mam do powiedzenia o tym panu z Ameryki...” Naprawdę nie było w tym cienia szowinizmu i antyamerykanizmu. Toż do gruntu internacjonalny – rosyjski, polski, żydowski, japoński, niemiecki, murzyński, był Montparnasse tamtych lat. Po prostu – i za to się go kocha – nie było w nim strachu krytyki, ani magii dolara, ani lęku potępienia – i taki mógł być świat. Choć chwila długo nie trwa...